

**Czesław Miłosz**  
**Ars poetica?**

Zawsze tęskniłem do formy bardziej pojemnej,  
która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą  
i pozwoliłaby się porozumieć nie narażając nikogo,  
autora ni czytelnika, na męki wyższego rzędu.

W samej istocie poezji jest coś nieprzystojnego:  
powstaje z nas rzecz, o której nie wiedzieliśmy, że w nas jest,  
więc mrugamy oczami, jakby wyskoczył z nas tygrys  
i stał w świetle, ogonem bijąc się po bokach.

Dlatego słusznie się mówi, że dyktuje poezję dajmonion,  
choć przesadza się utrzymując, że jest na pewno aniołem.  
Trudno pojąć skąd się bierze ta duma poetów  
jeżeli wstyd im nieraz, że widać ich słabość.

Jaki rozumny człowiek zechce być państwem demonów,  
które rządzą się w nim jak u siebie, przemawiają mnóstwem języków,  
a jakby nie dosyć im było skraść jego usta i rękę  
próbują dla swojej wygody zmieniać jego los?

Ponieważ co chorobliwe jest dzisiaj cenione,  
ktoś może myśleć, że tylko żartuję  
albo że wynalazłem jeszcze jeden sposób  
żeby wychwalać Sztukę z pomocą ironii.

Był czas, kiedy czytano tylko mądre książki  
pomagające znosić ból oraz nieszczęście.  
To jednak nie to samo co zaglądać w tysiąc  
dzieł pochodzących prosto z psychiatrycznej kliniki.

A przecie świat jest inny niż się nam wydaje  
i my jesteśmy inni niż w naszym bredzeniu.  
Ludzie więc zachowują milczącą uczciwość,  
tak zyskując szacunek krewnych i sąsiadów.

Ten pożytek z poezji, że nam przypomina  
jak trudno jest pozostać tą samą osobą,  
bo dom nasz jest otwarty, we drzwiach nie ma klucza  
a niewidzialni goście wchodzą i wychodzą.

Co tutaj opowiadam, poezją, zgoda, nie jest.  
Bo wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie,  
pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją,  
że dobre, nie złe duchy, mają w nas instrument.

*Berkeley, 1968*

*(Miasto bez imienia, 1969)*